

Quebec: nie będzie hidżabu w instytucjach publicznych

Tarek Fatah

W niedzielę (16.06) wieczorem po maratonowej sesji parlament Quebecu przegłosował 73 do 35 ustawę premiera François Legaulta „Bill 21”, która zakazuje niektórym pracownikom rządowym noszenia symboli religijnych.

Przyjęcie nowego prawa przez rząd CAQ (Koalicja Przyszłość Quebecu), popieranego w tej kwestii przez partię opozycyjną Parti Québécois, zakończyło dziesięcioletni spór. Rozpoczął się on, gdy Komisja Boucharda-Taylor zarekomendowała, żeby każdy pracownik publiczny, który uosabia władzę i neutralność państwa oraz jego instytucji, miał zakaz noszenia wszelkich widocznych symboli religijnych, takich jak hidżab, turban, jarmułka albo krzyż.

Wcześniej cztery kolejne rządy konserwatystów w Quebecu próbowały wprowadzić w życie zalecenia Bucharda-Taylor, ale bez sukcesu. Nowe prawo zakazuje większości pracowników rządowych, w tym policjantom, sędziom, prawnikom zatrudnionym przez państwo, strażnikom więziennym oraz nauczycielom, noszenia widocznych symboli religijnych, takich jak muzułmański hidżab czy burka, sikhijski turban, żydowska jarmułka albo chrześcijański krzyż.

W rzeczywistości, chociaż sikhijski turban, jarmułka i krucyfiks są zdecydowanie symbolami religijnymi, to muzułmański hidżab nie jest wymogiem islamu. Tak naprawdę hidżab jest symbolem politycznym, nieużywanym do lat 70. w Pakistanie, Indiach, Indonezji, Bangladeszu, Turcji, Somalii ani Nigerii.

Według jednej z czołowych propagatorek hidżabu – bohaterki dla wielu quebeckich i kanadyjskich nosicielek hidżabów oraz dla

islamistów, którzy chcą nimi manipulować – nowej członkini Izby Reprezentantów USA, urodzonej w Somalii Ilhan Omar: „Hidżab oznacza władzę, wyzwolenie, piękno i opór”.

Pomimo tego, że anglojęzyczne media dają czas antenowy prawie wyłącznie islamistom, którzy wspierają prawo szariatu, wielu przywódców muzułmańskich oraz aktywistów z Quebecu popiera nowe prawo.

Pochodzący z Algierii publicysta Ferid Chikhi skomentował regionalny spór o hidżab następująco: „Czy się nam to podoba, czy nie, najbardziej niepokojące jest w Quebecu coś, co nazywam złośliwą dywersją polityczną, praktykowaną przez islamistów, którzy chcą narzucić swoją ideologię na społeczeństwo swoich gospodarzy za wszelką cenę i jednocześnie nie szanują panujących tu praw”.

Razem z dwudziestoma trzema innymi quebeckimi muzułmanami, w tym politolożką Djemilą Benhabib, poparli nową ustawę, promującą sekularyzm w Quebecu. Ponadto, potępiłi oni premier Nowej Zelandii, Jacindę Arderm za „trywializowanie noszenia zasłon przez kobiety i dziewczynki”.

Muzułmański hidżab nie jest wymogiem islamu. Tak naprawdę hidżab jest symbolem politycznym.

Najsłynniejsza muzułmanka – polityk prowincji, urodzona w Maroku Fatima Houda-Pepin, była posłanka do Zgromadzenia Narodowego Quebecu, stała na pierwszej linii frontu w walce przeciwko hidżabowi i burce od wielu lat. Już w 2013 roku krytykowała swojego ówczesnego kolegę z Liberalnej Partii Quebecu, Marca Tanguaya, który wyraził poparcie dla kandydatek partyjnych noszących czador (irański hidżab) i powiedział, że chętnie zasiadłby z nimi w organie ustawodawczym. „Odrzucam wszelkie odchylenia w stronę relatywizmu kulturowego – komentowała Houda-Pepin – ukrywające się pod płaszczykiem religii, oraz akceptację symboli takich, jak czador, który jest ostatecznym wyrazem ucisku kobiet, a także symbolem radykalnego fundamentalizmu [islamistycznego].”

W liście do „The Canadian Press” Fatima Houda-Pepin opisała, że jest „oszołomiona”, „zraniona” i „zszokowana” komentarzami jej kolegów, wspierającymi hidżab. Zastanawiała się, czy aby poglądy partii liberalnej na temat równości pomiędzy mężczyznami i kobietami nie zostały zaczerpnięte z takich krajów, jak Araba Saudyjska albo Iran.

Dla muzułmanów będących ofiarami islamizmu oraz jego zwolenników, Quebec jest pierwszym krajem na Zachodzie, gdzie oparto się szantażowi islamistycznemu. Nowe prawo jest przesłaniem dla osób, które chcą zniszczyć cywilizację zachodnią: „Stop! Rialami się tutaj nie płaci.”

Dziękujemy, Quebecu! Vive le Québec!

Veronica Franco, na podstawie: <https://torontosun.com>

Tarek Fatah – pochodzący z Pakistanu liberalny muzułmanin, założyciel Muslim Canadian Congress i felietonista w „Toronto Sun”. Jest publicystą Middle East Forum.

YouTube usunął (i przywrócił) kanał krytyka islamu

Hamed Abdel Samad, niemiecko-egipski politolog publicznie krytykujący islam, jest zwolennikiem tezy o braku możliwości [zreformowania tej religii](#). Samad jest najbardziej reprezentatywnym przedstawicielem tego poglądu w Niemczech. Napisał między innymi książkę „Islamski faszyzm”.

Artykuł z portalu tichyseinblick.de opisuje perypetie krytyka islamu z kanałem YouTube.

* * *

Naukowcy muszą być chronieni przed islamistami przez ochroniarzy – to pokazuje, że krytyka islamu w Niemczech naprawdę grozi niebezpieczeństwem i że istnieją w państwie islamistyczne, pozaprawne obszary, które w dodatku są chronione przez to państwo – jak również przez YouTube.

Krytyka islamu stanowi obecnie w Niemczech poważne tabu, o którym nie powinno się nawet wspominać. Jednak pomimo islamistycznego oporu, Hamed Abdel Samad po raz pierwszy wystąpił z krytyką islamu na niemieckim uniwersytecie. To zaskakujące, ponieważ islamiści już dawno opanowali w Niemczech wiele obszarów społecznych i grożą śmiercią krytykom. Prawo, społeczeństwo i duża część świata naukowego poddały się i obserwują beczynn timerzój sytuacji. A na dodatek kanał Hameda Abdel Samada na YouTube został zablokowany.

W reakcji na to Samad napisał:

„Brawo, YouTube! Islamiści chcą mnie zabić, aby mnie uciszyć, a YouTube spełnia ich życzenie! Mój kanał na YouTube, Hamed.TV został dziś bez ostrzeżenia usunięty. Na tym kanale zwracam się głównie do muzułmanów w świecie arabskim. Dyskutuję z wierzącymi muzułmanami i z ateistami na temat problemów świata islamskiego. W zeszłym roku opublikowałem apel do młodych muzułmanów, ostrzegając ich przed propagandą terrorystyczną ISIS.

Mój kanał ma ponad 120 000 obserwujących i ponad 25 milionów wejść. Ale YouTube to nie interesuje – pozwala działać wszystkim islamistycznym kanałom, które wzywają do nienawiści i przemocy, ale wciąż ucisza głosy krytyczne, wspierając w ten sposób dżihad medialny, poprzez który islamiści agitują na całym świecie! Dokąd to prowadzi? Czy chcemy to zaakceptować?

Do wszystkich moich przyjaciół. Proszę, podziel się tym komentarzem, aż dotrze do YouTube, że poważnie traktujemy wolność słowa!”.

„Polityka nas nie chce. Gospodarka nas nie chce” – stwierdza Samad. Dla nich krytycy islamu są „wichrzycielami”. Nie wolno denerwować partnerów Niemiec, takich jak Arabia Saudyjska, Katar i Iran, a już na pewno w żaden sposób nie wolno zagrażać wspólnym interesom. A przecież kraje te są szczególnie niebezpieczne, ponieważ finansują całe ośrodki [islamistyczne] w Niemczech, a ich płatni lobbyści wywierają wpływ na politykę i media.

Pojęcia takie, jak „islamofobia” lub „antymuzułmański rasizm” zostały po raz pierwszy rozpropagowane przez te właśnie kraje, aby następnie wykorzystać je jako broń – nie tylko do ochrony islamu przed krytyką, ale także do ochrony Erdogana i Bractwa Muzułmańskiego.

Zarzut rzekomego antymuzułmańskiego rasizmu od dawna jest narzędziem wywierania nacisku i tłumienia wszelkich form krytyki i analizy. I co jest w tej sprawie najsmutniejsze: to działa. Można to rozpoznać na przykładzie wybitnej uczonej [Susanne Schröter](#), którą oskarżono o „antymuzułmański rasizm”.

Kto używa tych terminów – zwłaszcza przeciwko krytykom islamizmu – popiera islamistów i działa ręką w rękę z fundamentalistami. Nawet dziennikarze najwyraźniej nie rozumieją, że, kiedy stanowczo potępiają Samada jako „krytycznego” lub nazywają go „islamofobem”, stają po stronie islamistów. A teraz zadano kolejny cios: agresywnemu, wojownicznemu islamizmowi uległo YouTube.

Update od Samada: [po odblokowaniu jego kanału]

„Drodzy przyjaciele, dziękuję za wsparcie i solidarność. Mój

kanał YouTube ponownie jest online. Szczególnie chcę podziękować Saschy Lobo i Tobiasowi Huchowi*, ale także wszystkim, którzy podzielili się moim komentarzem na Facebooku i Twitterze. Jednakże nadal bardzo smutne jest, że w rozwiązaniu tego problemu kluczowe było to, iż właściciel kanału jest osobą znaną. Nie bez znaczenia są także interwencje osób wpływowych. Nie wolno nam zapominać o tych, którzy nadal są zablokowani tylko dlatego, że publikują krytyczne treści o islamie, jednak nie mają poparcia medialnego. Zawsze chcę być ich rzecznikiem, tak jak i wszystkich innych, którzy nie mogą się wypowiadać publicznie.”

Oprac. Natalia Osten-Sacken, na podst.
<https://www.tichyseinblick.de>

*[Sascha Lobo](#); [Tobias Huch](#)

Rewelacje o Hezbollahu w Wielkiej Brytanii

Seth J. Frantzman

Jak informuje dość szokująca relacja w „Telegraph”, Brytyjskie MI5 i Metropolitan Police odkryli podstawy spisku Hezbollahu, kiedy przeprowadzili naloty na cztery miejsca w Londynie we wrześniu 2015 roku.

Chociaż ówczesny premier, David Cameron i minister spraw wewnętrznych, Theresa May, zostali poinformowani o tym nalocie, „utrzymywano go w tajemnicy przed społeczeństwem”, głosi ta relacja.

Jest to zgodne z niepokojącym wzorem prób agencji

wywiadowczych i porządku publicznego wyśledzenia globalnej działalności Hezbollahu tylko po to, by spotkać się z oziębłym traktowaniem przez polityków. Może to być część szeroko zakrojonej próby krajów zachodnich, by zyskać przychyłność reżimu Iranu i bagatelizować głębię irańskiej penetracji innych krajów.

Według artykułu w „Politico” z 2018 roku, amerykańska Drug Enforcement Administration w 2008 roku rozpoczęła badanie handlu narkotykami przez Hezbollah. Zaangażowane w to było trzydzieści amerykańskich i zagranicznych służb bezpieczeństwa. Zmapowali globalny handel od Ameryki Południowej do Afryki i Bliskiego Wschodu, który powiązali z „najściślejszymi wewnętrznymi kręgami Hezbollahu i jego państwowego sponsora w Iranie”.

Śledczy natrafili jednak na problemy ze strony najwyższych kręgów administracji Obamy. USA starały się zmienić swoje stosunki z Iranem i przedstawiły Umowę Irańską. W tej sytuacji USA musiały być bardziej elastyczne wobec sojuszników Iranu, takich jak Hezbollah. „Politico” informuje, że John Brennan, były dyrektor CIA, powiedział nawet, że uważa, że Hezbollah powinien być „bardziej zasymilowany w libański system polityczny”.

Zamiast rozerwać wszechstronne związki Hezbollahu z nielegalnym handlem narkotykami, USA wybrały inną drogę. Przyznając, że są części Hezbollahu, które są „niepokojące”, USA chciały zmniejszyć ich wpływy i „próbować wzmocnić bardziej umiarkowany element”.

Także w artykule o nalocie w Wielkiej Brytanii jest informacja, że choć Brytyjczycy uznali „zbrojne skrzydło” Hezbollahu za organizację terrorystyczną, czekali do lutego 2019 roku z uznaniem całej organizacji za terrorystyczną. Podczas gdy w Wielkiej Brytanii nalot na miejsca z materiałami do produkcji bomb został wyciszony i podejrzani zwolnieni, w USA pościg za globalnym handlem narkotykami przez Hezbollah

został „powstrzymany” przez wysokich rangą oficjeli.

Z powodu momentu czasowego powstaje pytanie, czy operacja została wyciszona ze względu na umowę z Iranem. Ale czy umowa była już zawarta w momencie nalotu? Czy zachowanie milczenia było konieczne dla zawarcia umowy i nie zawstydzania partnera? Czy nalot przełożono na czas po zawarciu umowy? Nie jest to jasne. Czy też może gromadzenie tych materiałów wybuchowych było rezultatem umowy z Iranem, który uznał, że umowa dawała mu *carte blanche* na robienie wszystkiego, co zechce?

„Politico” pisze, że w styczniu 2016 roku Czesi wypuścili na wolność podejrzanych agentów Hezbollahu w wymianie za pięciu porwanych Czechów. W tym samym roku także kraje europejskie aresztowały członków Hezbollahu związanych z handlem narkotykami.

Między 2015 a 2017 rokiem Iran dokonywał także morderstw irańskich dysydentów w Europie, co jest dalszym dowodem, że po zawarciu umowy uważał, że może robić, co chce. UE wreszcie opowiedziała o tych wydarzeniach w styczniu. Było jednak więcej spisków związanych z Iranem we Francji, Holandii, Niemczech i Danii. Holandia odwołała także swojego wysłannika w marcu.

W dodatku są inne dowody roli, jaką umowa z Iranem odegrała w złagodzeniu nacisków na reżim Assada. Ta umowa staje się coraz mętniejsza z każdą kolejną rewelacją. Iran zyskał 1,8 miliarda dolarów gotówki z tej umowy (z czego część wysłano do Iranu na paletach), ta umowa wpłynęła znacząco na dalszy wzrost napięcia między Izraelem a Iranem, a także między Arabią Saudyjską a Iranem. Trudno ustalić, jaką rolę odegrała umowa we wzmocnieniu strony Assada w wojnie przeciwko syryjskim rebeliantom i w napędzaniu konfliktu w Jemenie z wspieranymi przez Iran Huti.

Rewelacje w Wielkiej Brytanii są kolejnym snopem światła w skądinąd nieprzejrzystej chmurze, jaka wisi nad umową z

Iranem. Dlaczego mocarstwa zachodnie włożyły tak wiele wysiłku w doprowadzenie do tej umowy? Biorąc pod uwagę historię Islamskiej Republiki Iranu i jej zachowanie w Europie (tak Iranu, jak jego marionetek) dlaczego zachodnie rządy sądziły, że ta umowa umiarkuje Iran, skoro w rzeczywistości stał się jeszcze bezczelniejszy po 2015 roku?

Ponadto, z każdą taką historią, jak ta obecnie ujawniona w Wielkiej Brytanii, na nowo powstaje pytanie o wysiłki włożone w zachowanie posiadanych informacji w tajemnicy przed społeczeństwem, mediami, a nawet członkami parlamentów w różnych krajach.

Tłumaczenie: Małgorzata Koraszewska

Źródło tekstu polskiego:
<http://www.listyznaszegosadu.pl/brunatna-fala/rewelacje-o-hezb-ollahu-w-wielkiej-brytanii-czescia-niepokojacego-trendu-oblaskawiania-iranu>

Seth J. Frantzman zajmował się badaniami nad historią Ziemi Świętej, historią Beduinów i arabskich chrześcijan, historią Jerozolimy, prowadził również wykłady w zakresie kultury amerykańskiej. Urodzony w Stanach Zjednoczonych w rodzinie farmerskiej, studiował w USA i we Włoszech, doktoryzował się na Hebrew University w Jerozolimie.

Zakrywanie kultury, żeby "nie urazić" islamu

Giulio Meotti

Trzy lata temu włoski rząd podjął haniebną decyzję. Zakrył

starożytne [rzeźby rzymskie](#) żeby nie urazić wizytującego prezydenta Iranu, Hassana Rouhaniego. Nagie pomniki ukryto w białych pudłach.

Rok wcześniej, we Florencji, zakryto inną rzeźbę przedstawiającą nagiego mężczyznę w greko-rzymskim stylu podczas wizyty następcy tronu z Emiratów. Obecnie jedna z najsłynniejszych brytyjskich galerii sztuki zakryła dwa obrazy po skargach muzułmanów, że są „bluźniercze”.

W Saatchi Gallery w Londynie dwa obrazy przedstawiające nagość, tym razem pokrytą arabskimi napisami, wywołały skargi zwiedzających muzułmanów, którzy zażądali usunięcia obrazów z wystawy *Rainbow Scenes*. W końcu obrazy zakryto płachtami. „Saatchi zachowuje się jak Arabia Saudyjska, ukrywając przed wzrokiem publiczności dzieła sztuki, które bluźnią wobec islamu” – [skomentował](#) to Brendan O’Neill w „Spiked”. Jeden z ekspertów określił obrazy jako „[Szatańskie wersety raz jeszcze](#)„. Mówił o książce Salmana Rushdiego, brytyjskiego obywatela, opublikowanej w 1988 roku. „Najwyższy przywódca” Iranu, ajatollah Chomeini, w 1989 roku [skazał Rushdiego na śmierć](#) za napisanie tej książki. Nagrodę za głowę Rushdiego [podniesiono](#) do 4 milionów dolarów w 2016 roku, kiedy grupa Irańczyków dodała 600 tysięcy dolarów do „nagrody” – [bez żadnego protestu](#) ze strony Wielkiej Brytanii.

Po *Szatańskich wersetach* Rushdiego wiele europejskich domów wydawniczych zaczęło ustępować przed islamskim zastraszaniem. Christian Bourgois, francuski dom wydawniczy, który kupił prawa do książki, [odmówił opublikowania Szatańskich wersetów](#). To był pierwszy raz, kiedy w imię islamu pisarz został skazany na zniknięcie z powierzchni ziemi – na zamordowanie go za nagrodą.

Rushdie jest nadal z nami. Ale zamordowanie w 2004 roku [Theo van Gogha](#) za produkcję i reżyserię filmu „Submission” o islamskiej przemocy wobec kobiet; [śmierć](#) tak wielu arabsko-islamskich [intelektualistów](#) winnych swobodnego pisania,

rozruchy w sprawie duńskich karykatur i wiele procesów (na przykład [tutaj](#) i [tutaj](#)) i prób morderstwa (takich jak [tutaj](#) i [tutaj](#)), masakra w redakcji „Charlie Hebdo”, ataki po wystąpieniu papieża Benedykta w Regensburgu, anulowanie wydania [książek](#) i [pism](#), [zamykanie](#) wizerunków Mahometa w magazynach muzeów i wzrastające groźby i kary, włącznie z chłostą, wobec niezliczonych [dziennikarzy](#) i pisarzy, takich jak [Raif Badawi](#) w Arabii Saudyjskiej, powinny nas zaalarmować – nie zaś rzucić na kolana.

Jak pokazuje kapitulacja Saatchi Gallery, wolność słowa w Europie jest obecnie wyczerpana i słaba. Jak dotąd ustępujemy islamskim ekstremistom i zachodnim tchórzliwym lizusom. To jest tragiczna lekcja sprawy Rushdiego w 30 lat później: żaden autor nie ośmieliłby się dzisiaj napisać *Szatańskich wersetów*; żaden duży dom wydawniczy, taki jak Penguin, nie wydałby tej książki; medialne ataki na „islamofobię” byłyby jeszcze silniejsze, podobnie jak bezgraniczna zdrada zachodnich dyplomatów.

Wszyscy zakrywamy naszą rzekomo „błóżnierczą” kulturę burkami, żeby uniknąć urażania ludzi, którym nie przeszkadza urażanie nas. Dzisiaj także, z powodu mediów społecznościowych używanych jako broń oraz masowych gróźb, każdy autor prawdopodobnie miałby mniej szczęścia niż Rushdie 30 lat temu. Od tego czasu nie zrobiliśmy żadnego postępu. Zamiast tego widzimy raz za razem dżihad przeciwko *Szatańskim wersetom*. „Nikt nie miałby dzisiaj jaj, żeby napisać *Szatańskie wersety*, nie mówiąc już o wydaniu ich – [powiedział](#) pisarz Hanif Kureishi. – Pisanie jest teraz płochliwe, bo pisarze są przerażeni”.

[Według](#) Kenana Malika, piszącego w 2008 roku: „To, o czym tutaj mówimy, nie jest systemem formalnej cenzury, zgodnie z którym państwo zakazuje dzieł, które uznaje za obraźliwe. Raczej jest to rozwinięta kultura autocenzury, według której urażenie kogoś zostało uznane za moralnie nie do zaakceptowania. Przez 20 lat od publikacji *Szatańskich wersetów* fatwa została wewnątrznie przyswojona”.

Wydaje się, że sprawa Rushdiego głęboko wpłynęła na kształt brytyjskiego społeczeństwa. Poddanie się Saatchi Gallery w Londynie nie jest odosobnione. Brytyjska [Tate Gallery](#) schowała rzeźbę „God is Great”, Johna Lathama, przedstawiającą Koran, Biblię i Talmud osadzone w szkłe. XVI-wieczna sztuka Christophera Marlowe’a „Tamburlaine the Great (Tamerlan Wielki)” została [ocenzurowana](#) w Barbican Centre. Sztuka zawierała wzmiankę o Proroku Islamu jako „niewartym czczenia”, jak również scenę spalenia Koranu. Whitechapel Art Gallery w Londynie usunęła eksponat zawierający nagie lalki, które mogły zirytować muzułmańską populację. W Mall Galleries w Londynie obraz „ISIS Threaten Sylvania”, artystki Mimsy, został [ocenzurowany](#) za pokazanie zabawek, zwierząt – terrorystów, które zamierzają zmasakrować inne zwierzątka – zabawki na pikniku.



W [Royal Court Theatre](#) w Londynie Richard Bean musiał ocenzurować sam siebie za adaptację „Lizystraty”, greckiej komedii, w której kobiety ogłaszają strajk seksualny, by zatrzymać mężczyzn, którzy chcą iść na wojnę. W wersji Beana to islamskie dziewczęce ogłosiły strajk, by zatrzymać zamachowców-samobójców.

Niestety, w imię walki z „islamofobią” brytyjski establishment wydaje się obecnie podporządkowywać pełzającemu szariatowi: samodzielnie czyszcząc i cenzurując mowę.

Ostatnio w Wielkiej Brytanii pozbyto się kilku znanych konserwatystów. Jednym z nich jest niezrównany filozof Roger Scruton, którego wyrzucono z rządowej komisji za powiedzenie, że słowo "islamofobia" zostało wymyślone przez Bractwo Muzułmańskie, [„by zatrzymać dyskusję w sprawie o dużym znaczeniu”](#).

Potem przyszła kolej na znanego kanadyjskiego psychologa Jordana Petersona, którego gościnnie profesura na Cambridge University została anulowana za to, że znalazł się na zdjęciu z człowiekiem w koszulce z napisem [„Jestem dumnym islamofobem”](#). Profesor Peterson [powiedział](#) później, że słowo „islamofobia” zostało „po części skonstruowane przez ludzi zaangażowanych w islamski ekstremizm, by zapewnić, że islam jako struktura nie będzie krytykowany”.

Sprawy Scrutona i Petersona tylko potwierdzają rzeczywiste znaczenie "islamofobii", słowa wymyślonego, by uciszyć wszelką krytykę islamu przez kogokolwiek, lub – jak [skomentował](#) Salman Rushdie, słowa „stworzonego, by pomóc ślepemu w pozostaniu ślepym”. Gdzie jest odpór, który dawno temu należało zastosować?

W 2008 roku w „Telegraph” Tim Walker [cytował](#) znanego dramaturga Simona Graya, który powiedział, że Nicholas Hytner, dyrektor londyńskiego National Theatre w latach 2003-2015, „z przyjemnością obrażał chrześcijan”, ale „ma się na baczności, by nie wystawić niczego, co mogłoby zirytować muzułmanów”. Ostatnimi ludźmi, którzy to zrobili, byli dziennikarze francuskiego pisma satyrycznego „Charlie Hebdo”. Zapłacili za to życiem.

Przez odmowę przeciwstawienia się tej polacji mowy i odmowę popierania wolności słowa oraz ludzi takich jak Salman Rushdie, Roger Scruton, Jordan Peterson, redaktorów „Charlie Hebdo” i „Jyllands-Posten” – a to jest tylko czubek góry lodowej – poszliśmy drogą poddania się prawu szariatatu i tyranii. Wszyscy zakrywamy naszą rzekomo „błóżnierczą” kulturę

burkami, by uniknąć urażania ludzi, którym nie przeszkadza urażanie nas.

Tłumaczenie Małgorzata Koraszewska

Źródło: [Gatestone Institute](#)

Źródło tekstu polskiego: [Listy z naszego sadu](#)

Dzień Uchodźcy. Cztery lata po kryzysie i nic się nie zmieniło

Przy okazji Dnia Uchodźcy dotarł do mnie film UNHCR Polska, na którym „plejada polskich aktorów” [odczytuje listę rzeczy, jakie uchodźcy zabraliby uciekając z domu](#). Film poruszający w zamiarze, wywołał jednak odwrotną od zamierzonej reakcję.

Wygląda na to, że cztery lata po szczycie kryzysu imigracyjnego w dalszym ciągu gra się na reakcjach emocjonalnych społeczeństwa. Ta kolejna próba obudzenia wrażliwości, to prosta pedagogika. Przedstawienie cierpienia człowieka, postawienie się w jego sytuacji, ma nas skłonić do przyjęcia postaw, jakich życzyliby sobie twórcy filmu. Nie przedstawia się jednak żadnych propozycji rozwiązania, poza nieakceptowalnym, z punktu widzenia zdrowego rozsądku, otwarciem na masową migrację.

Czy trzeba uczyć wrażliwości?

Rozumiem osoby występujące w filmie. W wieku 18 lat też chciałem nagrać piosenkę o tym, jak zła jest wojna, wystawić sztukę o tym, jak planeta ginie (tak – wtedy już też o tym świat dyskutował). Człowiek czerpie z takiego działania

poczucie, że coś robi i czuje się moralnie dobrze, żeby nie powiedzieć lepiej. Lepiej od innych. Tylko że te osoby nie mają już osiemnastu lat. A tak na marginesie, to zastanawia mnie, ile pieniędzy organizacje pozarządowe w Polsce przeznaczyły na taką promocję postaw versus rzeczywista pomoc uchodźcom?

Niestety, nie mam prawie wątpliwości, że cierpienie na Ziemi istniało, istnieje i istnieć będzie. Przeciętnie zorientowany człowiek jest w stanie wymieniwać naprędce wiele różnych sytuacji, w których ludziom – milionom ludzi – nie udziela się wystarczającej pomocy. Przemoc wobec kobiet, uzależnienia i handel narkotykami, współczesne niewolnictwo, praca dzieci, życie w stałej biedzie, głód, choroby cywilizacyjne, niewolnictwo seksualne... itd.

I nie sądzę, żeby trzeba było tłumaczyć, jak straszna jest wojna, co się dzieje, kiedy nie masz co jeść. Ludzie to rozumieją, ale brak ich otwartości polega na tym, że nie chcą rozwiązań, które ich narażą na przykre konsekwencje.

Pomagać uchodźcom i imigrantom z sensem

Świadomość ogromu cierpienia nie oznacza, że mamy się na nie uniewrażliwić, opancerzyć. Oznacza jednak, że jeżeli chcemy rozwiązywać takie problemy, musimy rozumieć ich skalę i charakter. Postępować rozsądnie, żeby nie doprowadzić do sytuacji, w której nie tylko nie rozwiążemy problemów, ale sami zostaniemy nimi pochłonięci.

Ktoś powie: „Ale ludzie cierpią”. Tak jak napisałem wyżej – cierpią i będą cierpieli, i to nie tylko z powodu uchodźstwa. I jeżeli nie trafia do kogoś argument „zdrowego egoizmu”, to może zrozumie, że będąc sami pogrążeni w problemach utracimy możliwość pomagania. Europa nie pomoże Afryce stając się kontynentem targanym przez wewnętrzne konflikty, ze skrajnymi partiami u władzy i radykalnym islamem na ulicy oraz masą bezrobotnych do utrzymania. No chyba, że ktoś jeszcze wierzy w

bajeczki o wielokulturowym państwie, w którym każdy żyje według własnych zasad, a homoseksualista z salafitą pod rękę pielęgnują wegański ogródek.

Otwierając szerzej drzwi spowodujemy, że coraz większe masy ludności będą chciały ruszyć do Europy. Jeżeli sąsiadowi się udało, to może ja spróbuję. To jest intuicyjny, zdroworozsądkowy mechanizm, ale to jest też zbadany mechanizm tzw. czynnika zachęcającego (pull-factor). Więcej o tym można przeczytać w książce Grzegorza Lindenberga [„Wzbierająca fala. Europa wobec eksplozji demograficznej w Europie”](#).

Czy naprawdę jesteśmy gotowi pomagać uchodźcom?

To co w związku z tym można robić? Na poziomie osobistym wspierać finansowo. Tu pojawia się pytanie, jak wybrać akurat te, a nie inne problemy. To już osobiste pieniądze i osobista decyzja. Na poziomie Unii Europejskiej – jeżeli tak naprawdę, a nie tylko deklaratywnie, chcemy rozwiązywać problemy – to może zastanówmy się nad wspólną polityką rolną i taryfami celnymi chroniącymi rolników. Pojawią się i środki pomocowe, a biedne kraje będą mogły wreszcie eksportować do nas żywność. Oczywiście, jeżeli nie zablokujemy tego eksportu tym argumentem, że w tamtych krajach stosuje się GMO i wtedy już nie mogą być naszym dostawcą.

Które środowiska polityczne staną przeciwko ekologom i europejskim rolnikom? Co zrobi Francja, największy beneficjent obecnej polityki rolnej UE, której [prezydent najgłośniej gardłuje za karaniem Polski](#) za antyuchodźcze stanowisko?

Możemy podnieść podatki o 100 euro rocznie na fundusz uchodźców (w takiej czy w innej formie, proporcjonalnej do najniższej krajowej, wyłączającej z podatku najbiedniejszych). 50 miliardów euro mogłoby zasilić programy edukacji, rozwoju gospodarczego, pomocy w ośrodkach dla uchodźców. Zgodzimy się na kolejne podatki?

Potrzebujemy też silniejszej armii, zdolnej reagować, wspierać takie misje za granicą, chronić ludzi. Znowu potrzebne są środki.

Może problem jest z radykalnym i konserwatywnym islamem. Może lata wiary w wielokulturowość, w trakcie których przyzwoliliśmy na rozrost postaw odrzucających demokrację i nasze społeczeństwa, odbijają się teraz czkawką. Ponieważ każdy następny imigrant z tych regionów świata kojarzy się z problemami. Może powinniśmy powrócić jednak do sytuacji, że kraje europejskie, jako przyjmujące, włączają przyjeżdżających do swojej kultury. Tylko że wśród tych samych środowisk, które zalecają otwarcie się na imigrację, jest sprzeciw wobec integracji. I bądź tu mądry.

Hipokryzja zwolenników przyjmowania

Te wszystkie deklaratywne postawy prouchodźcze zostały znakomicie obnażone w różnego rodzaju prowokacjach. Okazuje się bowiem, że z chęcią gardłujemy za przyjmowaniem, kiedy nas to nie dotyczy. Z chęcią wystąpilibyśmy w sztuce, gorzej z życiem pod jednym dachem. Osoba zapytana na ulicy, czy przyjąłaby uchodźców pod dach, odpowiada twierdząco, gdy okazuje się jednak, że uchodźca stoi obok i jest gotowy do wprowadzenia się, zaczynają się wykręty.

Więc skoro już wiemy, że nie zmienimy naszej polityki rolnej, nie obniżymy ceł ani „ekologicznych” wymogów, nie podniesiemy podatków, nie zmienimy wielokulturowości w asymilację, nie zgodzimy się na kolejne użycie armii poza granicami kraju... wystawmy sztukę z okazji Dnia Uchodźcy o przyjmowaniu uchodźców.

Jan Wójcik

Tariq Ramadan i katarskie pieniądze

Hany Ghoraba

Przywódcy i myśliciele religijni często przedstawiają się jako osoby będące ponad polityką, które obchodzi tylko prawda – taka, jaką ją widzą.

Zachodnie media niejednokrotnie akceptują taki wizerunek wtedy, kiedy im to pasuje – szczególnie, jeśli ta postać religijna odrzuca poglądy polityczne, jakich dane medium również nie lubi. Taka właśnie jest sytuacja z Tariqiem Ramadanem, urodzonym w Szwecji myślicielem muzułmańskim i uczonym z Oxfordu, który był szeroko uznawany za wpływowego działacza religijnego o umiarkowanych poglądach, do czasu, kiedy został w 2017 roku aresztowany za gwałt.

Być może z powodu tego wizerunku „mędrca, który jest ponad”, jeszcze bardziej szokujące jest, kiedy okazuje się, że prominentny autorytet religijny znajduje się na czyjejs liście płac. W przypadku Ramadana nie powinno to być aż tak zaskakujące. Ten wnuk Hassana al-Banny, założyciela Bractwa Muzułmańskiego, był od dawna oskarżany przez badaczy i aktywistów sprzeciwiających się tej organizacji o promowanie agendy BM.

Obecnie nowe śledztwa ujawniły, że Ramadan był szczerze finansowany przez Katar – głównego patrona Bractwa. Tamtejsza potężna, wspierana przez państwo organizacja Qatar Foundation, płaciła Ramadanowi za „konsultacje” do 35 tysięcy euro miesięcznie.

Ostatni skandal z udziałem islamistycznego ideologa został ujawniony w nowej książce [„Qatar Papers”](#), autorstwa francuskich dziennikarzy śledczych Georges Malbrunota i Christiana Chesnota. W oparciu o obszerne wyciągi bankowe,

jakie dostali od swojego informatora, wyjawili w książce, że Ramadan był na liście płac władz katarskich od wielu lat. Z katarskich pieniędzy opłacił między innymi zakup dwóch luksusowych mieszkań w Paryżu.

Ramadan ma wiele powiązań z Katarą; był wizytującym profesorem uniwersytetu Hamad Bin Khalifa w Doha oraz dyrektorem wspieranego przez Qatar Foundation ośrodka CILE (Research Centre for Islamic Legislation and Ethics) w Doha. Był również prezesem prokatarskiego think tanku EMN (European Muslim Network) w Brukseli. Co więcej, Ramadan był członkiem International Union of Muslim Scholars finansowanego przez Katar i prowadzonego przez Bractwo Muzułmańskie. Jeszcze do niedawna na czele tego związku stał „przywódca duchowy” BM, Jusuf al-Karadawi.

Władze Kataru wspierały Ramadana nawet po pierwszych doniesieniach na jego temat, w październiku 2017 roku (od tamtego czasu padło wobec niego o wiele więcej oskarżeń). Jego islamistyczni obrońcy wskazywali na wiele nagrań wideo, na których mówi on o wadze skromności i moralności seksualnej oraz twierdzili, że jest prześladowany z powodu „islamofobii”.

W lutym 2018 roku prokuratura francuska wniosła jednak sprawę przeciwko Ramadanowi o gwałt i dopiero wtedy władze katarskie ogłosiły, że jest persona non grata. Jego publiczny związek z Qatar Foundation został wówczas zakończony, lecz mimo to dostał później 19 tysięcy euro od finansowanej przez Katar szwedzkiej Ligi Muzułmańskiej, na koszt jego obrony. (Szwedzka Liga Muzułmańska prowadzona jest przez dwóch członków Bractwa Muzułmańskiego – Neceura Ghomrachiego oraz Mansoura Ben Yahyę).

Hany Ghoraba jest egipskim dziennikarzem i analitykiem, publicystą *Islamist Watch* oraz „*Al Ahram Weekly*”.

Oprac. Veronica Franco, na podstawie:

Mamed Ch. i naiwność mediów

Piotr Ślusarczyk

Funkcjonariusze Biura Operacji Antyterrorystycznych zatrzymali byłego zawodnika MMA Mameda Ch. Prokuratura zarzuca mu paserstwo luksusowych aut. Jak to możliwe, że muzułmanin, który publicznie deklaruje przywiązanie do bardzo restrykcyjnych standardów moralnych, wyprowadzony zostaje z własnego mieszkania o szóstej rano przez antyterrorystów?

Mamed Ch. udzielił wielu obszernych wywiadów, przedstawiając islam w pozytywnym świetle. Mówił nawet, że „podstawą islamu jest robienie na co dzień dobrych uczynków, okazywanie innym ludziom dobroci, pomaganie im”. Teraz deklaracja ta brzmi niezbyt wiarygodnie.

Przez lata sportowiec był ulubieńcem mediów. Publicznie bronił go m.in. Tomasz Lis, do programu zapraszał Kuba Wojewódzki, zaś pisarz Szczepan Twardoch przeprowadzał z nim wywiady. Choć sam siebie prezentował jako „radykalnego muzułmanina”, tych którzy nie należeli do jego zwolenników, chętnie nazywano „islamofobami”. Historia czecheńskiego sportowca pokazuje naiwność mediów i uparte posługiwanie się stereotypami.

Mamed Ch. miał być przecież nie tylko polskim zawodnikiem, ale także pobożnym muzułmaninem, który doskonale zintegrował się z polskim społeczeństwem. Niewielu chciało wnikać, czym w istocie jest „radykalny islam”; niewielu potrafiło zrozumieć, co rzeczywiście oznacza deklaracja, że „najważniejszy jest Bóg”; niewielu w końcu dostrzegało w jego działalności przykład promowania postaw sprzecznych z demokratycznymi

wartościami. Niewielu pytało, dlaczego po egzekucji satyryków w Paryżu publicznie pokazywał się w koszulce „Nie jestem Charlie Hebdo”. Nikt w mediach głównego nurtu nie próbował polemizować z jego tezami, że islam piętnuje przemoc wobec kobiet.

Mówiąc wprost Mamed Ch. był uosobieniem islamskiej kultury patriarchalnej z jej kultem siły. Wszyscy, którzy w jego oświadczeniach widzieli jedynie przywiązanie do restrykcyjnych zasad moralnych, nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć, na czym polega moralność oparta na prawie szariatu. W islamie nie istnieje uniwersalny kodeks moralny, obowiązujący wszystkich, coś na kształt Dekalogu.

Próbkę myślenia o wcielaniu w życie nakazów moralnych płynących z islamu pokazuje cytat z rozmowy z Kubą Wojewódzkim: „Islam na przykład zabrania bicia po twarzy. Nie wolno wyrażać agresji i w ogóle bić ludzi. Z tym się rzeczywiście borykam. Więc jak walczę, to staram się nieagresywnie i omijać twarz. Jak kończę walkę, to nie biciem po głowie, tylko dźwigniami i duszeniami. No, to nie jest bicie po głowie... A kradzież? Nie, ja nie kradłem osłów w dzieciństwie, tylko pożyczałem. Miałem wtedy 10 lat. Stał sobie osioł i chciałem się nim przejechać. Pojeździć trochę i oddać, to co innego niż ukraść. Oczywiście, że oddałem, jak już mnie złapali”.

Trudno o jakikolwiek racjonalny komentarz do tych słów. Zawodnik sportów walki uznaje, że postępuje zgodnie z nakazami islamu, gdyż zamiast bić przeciwnika w twarz, walkę kończy...duszeniem! W świetle zarzutów dotyczących paserstwa, nowego znaczenia nabierają słowa: „Ja nie kradłem, ja pożyczałem”.

Jestem przekonany, że gdyby Ch. nie urodził się w Czeczenii, a na polskiej prowincji i gdyby określał siebie jako „ultrakonserwatywnego katolika”, wówczas ani Tomasz Lis, ani Jakub Wojewódzki nie widzieliby w nim utalentowanego

sportowca, lecz radykała. Jedno trzeba przyznać – kiedy zawodnik MMA nazywał siebie „radykalnym muzułmaninem”, mówił prawdę. Zadziwiające jednak, że oświadczeniami tymi zjednywał sobie lewicowych i liberalnych dziennikarzy, pisarzy czy gwiazdy telewizji. Jego zaletą było to, że doskonale wykorzystał zapotrzebowanie mediów na zintegrowanego muzułmanina, który dzielnie walczy z rzekomymi stereotypami na temat islamu.

Racjonalista o „Wzbierającej fali”

Z portalu Racjonalista.tv przedrukujemy recenzję książki Grzegorza Lindenberg, napisaną przez Jacka Tabisza. Śródtytuły pochodzą od redakcji Euroislamu.

* * *

Książka Grzegorza Lindenberg „Wzbierająca fala” wstrząsnęła mną tak mocno, że przez kilka dni nie wiedziałem, co napisać. W końcu z trudem zabieram się do recenzji tej pozycji, niedługo, gdyż liczącej sobie 150 stron.

Dziennikarz Euroislamu, kiedyś mocno związany z „Wyborczą”, teraz również dla niej czasem piszący, wyłożył rzecz całą w sposób spokojny, rzeczowy i pozornie beznamiętny. Ten spokój w kontekście przekazywanych informacji robi ogromne wrażenie i skłania do ponownych analiz nawet osoby mocno zorientowane w temacie ostatnich migracji.

Z książki wynika dość przerażający obraz przyszłości. Wedle najbardziej ostrożnych szacunków, co najmniej 20 milionów mieszkańców Afryki i pięciu krajów Azji zjawi się w Europie do 2050 roku. Ci ludzie w ogromnej większości będą

niezintegrowani i nie będą pracować. Część z nich się zradykalizuje, winiąc za swoje niepowodzenia wyznających inne idee autochtonów.

Wedle mniej ostrożnych szacunków, migrantów z Afryki i pięciu państw Azji, w dużej mierze muzułmanów, przybędzie do 2050 roku sto milionów. A miejsc pracy w Europie będzie ubywać za sprawą coraz sprawniejszych i bardziej inteligentnych algorytmów zastępujących na przykład ludzi z rozmaitych call center , oraz za sprawą robotyzacji i mechanizacji. Na pracę będą mogli liczyć głównie świetnie wykształceni informatycy i inżynierowie, umiejący pracować w zespołach, znający świetnie język i bezkonfliktowi.

„Dobrzy ludzie” kontra „faszyści”

Rządy europejskie w zasadzie unikają tego tematu. Prawie nikt liczący co najwyżej na dwie – trzy kadencje u władzy nie chce poruszać tak niewygodnego i niemodnego wątku, jak ograniczanie migracji. Lepiej to wszystko ignorować, zaś osoby zaniepokojone w miarę możliwości uciszać. Jeśli puszczają im nerwy – łatwo je obwołać „faszystami” i nawet przysporzyć sobie doraźnie trochę popularności. W końcu tylko „dobrzy” ludzie walczą z „faszystami”. Mamy zatem w naszym coraz bardziej Orwellowskim świecie „dobrych” i „faszystów”, wygodną dychotomię pozwalającą uniknąć niewygodnych, a koniecznych decyzji politycznych. Oczywiście wzbierająca fala i kompletna niemożność elit politycznych mogą w końcu wykreować osoby naprawdę odwołujące się do faszystowskich metod i zyskujące coraz szersze poparcie bezsilnych autochtonów. Jest to jeden z całkiem możliwych scenariuszy na przyszłość.

Tylko czy świat z drugą Afryką zamiast Europy będzie lepszym światem? Śmiem wątpić.

Całkiem możliwe, że pod koniec XXI wieku liczba ludności Afryki zwiększy się do siedmiu miliardów ludzi, podczas gdy przyrost naturalny w Europie i wielu najbardziej rozwiniętych obszarach Azji oraz obu Ameryk spadnie nawet do liczb

ujemnych. Wzbierająca fala będzie wzbierać zatem do czasu, aż ktoś wybuduje tamę, lub aż miejsca, które zalewa migracja, staną się równie nieatrakcyjne jak samo źródło wielkiego ludzkiego przypływu. Tylko czy świat z drugą Afryką zamiast Europy będzie lepszym światem? Śmiem wątpić, zaś nasi potomkowie raczej nie zaznają szczęścia w świecie, który szykuje im nasza bezwolność i polityczna poprawność działająca jak knebel na niemodne tematy, lub na tematy tabu.

Grzegorz Lindenberg przedstawia istniejącą sytuację krok po kroku, ze spokojem zestawia statystyki, przytacza opinie. Nie można mu zarzucić stronniczości ani żadnych uprzedzeń. Nie wymienia też za bardzo słowa „islam”. Ten spokój i rzetelność informacji najbardziej chyba niepokoją przy lekturze książki. Jesteśmy świadkami procesu, którego końcowy etap niemal z pewnością będzie tragiczny dla naszego świata i dla całej ludzkości.

Co można zrobić

Wśród rozwiązań Lindenberg proponuje przede wszystkim edukację kobiet w Afryce. Powinno to je uczynić szczęśliwszymi i ograniczyć dzietność. Kobiety mające choćby średnie wykształcenie mają znacznie większą motywację dla planowania rodziny i zazwyczaj to robią. W końcu bardziej od liczebności potomstwa jest istotne jego szczęście i możliwość jego edukacji, w domu i na zewnątrz domu. Trzeba jednak to zrozumieć, wykształcona matka ma też większą szansę skutecznie sprzeciwić się woli męża i innych mężczyzn w rodzie.

Z kolei wariant, który proponują często przeciwnicy masowej migracji, czyli materialne pomaganie na miejscu, przerodzić się może w jeszcze większą migrację, gdyż więcej będzie środków dla opłacenia przemytników, a życie w dorabiającym się kraju, na globalnym tle ubywania miejsc pracy wszędzie, nie będzie wolne od frustracji. Jedynym wyjściem jest zatem edukacja kobiet i tworzenie miejsc pracy na miejscu, ale – ogólnie – na całym świecie miejsc pracy będzie ubywać.

Osoby bardzo optymistyczne sądzą, że przecież opanowaliśmy migrację. Nic bardziej mylnego. Lindenberg, analizując fakt po fakcie pokazuje nam, że obecne doraźne rozwiązanie przed niczym nas nie uchroni i prawdziwe problemy dopiero się zaczną. Z jednej strony mamy zatem bezmyślną i bardzo medialną „dobroć”, z drugiej całkowitą bezradność polityków wobec problemu migracji.

Jaka będzie cena zaniechania

W jednym z wywiadów zrealizowanych po powstaniu książki Lindenberg został zapytany o opinię na temat prof. Wolniewicza, który wzywał do zatapiania barek z migrantami. Oczywiście, jak każdy normalny człowiek, zaprotestował gorąco wobec takiego rozwiązania (ja także swego czasu zaprotestowałem w dyskusji nagranej dla Racjonalista.tv).

Po kilkunastu minutach, w tym samym wywiadzie z Grzegorzem Lindenbergiem, temat zatapiania barek jednak powrócił. Jak sugeruje autor książki – jeśli nic nie zrobimy w czasach, kiedy Europa ma się jeszcze w miarę dobrze i jej ludność nie jest jeszcze poważnie zdesperowana i radykalizowana, może się okazać, że nasze dzieci nie będą radzić nad tym czy zatapiać barki z migrantami, ale jak to robić. Nasza obecna „dobroć”, otwartość i naiwność mogą mieć taką cenę w przyszłości.

Inne możliwe ceny, jakie poniosą nasi potomkowie, albo i my sami, jeśli jeszcze jesteśmy młodzi, to całkowity rozpad naszego świata i dominacja tego świata, który chcieliśmy zmienić na lepszy. Ani my, ani ludzie, którym rzeczywiście potrzebna jest pomoc, nie zyskamy niczego w scenariuszu bezwładnego rozkładu Europy i dominacji w niej wartości, przed którymi tak wielu ludzi jednak rzeczywiście ucieka (choć przyjmując przypadkowe osoby często nie pomagamy tym najbardziej czy rzeczywiście potrzebującym).

Lektura obowiązkowa

Książka Grzegorza Lindenberga powinna być lekturą obowiązkową dla europejskich polityków, działaczy społecznych i dziennikarzy. Jest na tyle sugestywna i rzetelna, że ma szansę dotrzeć do niektórych głów i sprawić, że zamiast zakrzykiwać „faszyzmami” wszelkie wątpliwości wobec polityki migracyjnej UE zaczną myśleć. Jak duża jest jednak ta szansa? Cóż, w Polsce, gdzie szaleństwa poprawności politycznej i posthistoryczno – pokolonialnej naiwności są jeszcze mimo wszystko rządzające, pojawiają się głosy zapowiadające być może bardziej „europejską” przyszłość naszej refleksji politycznej.

Choćby teraz, w czasie gdy po przetrzawieniu książki pisałem tę recenzję, prof. Magdalena Środa, stanowiąca istotny głos odniesienia dla części lewicy polskiej, stwierdziła podczas debaty na UW, że migrujący muzułmanie istotnie poprawią stan środowiska naturalnego w Polsce, bo nie jedzą wieprzowiny i nie piją alkoholu. Prof. Środa chyba nigdy nie słyszała o święcie Eid, które polega na powszechnym zarzynaniu zwierząt przez wszystkie rodziny wyznawców Allaha. Obrazy spływających krwią ulic muzułmańskich w te święto pojawiają się choćby w literaturze indyjskiej. Unikających krzywdzenia zwierząt hinduistów szokuje ta orgia przemocy, faktem jest, że muzułmanin praktycznie nie może być wegetarianinem, gdyż słowa Koranu i hadisów traktuje się w islamie dosłownie, bez metafor – to nie chrześcijaństwo i nie hinduizm. Na święto Eid należy zabić własnoręcznie dorodne zwierzę, najlepiej wielbłąda albo konia (często są to owce lub kozy) i je spożyć.

Inną, poważniejszą zgorą dla środowiska jest rzecz jasna dokładanie milionów mieszkańców Europie, należącej do najbardziej przeludnionych obszarów świata. Jeśli część naszych elit dalej będzie ślepo brnąć drogą zachodnich błędów w polityce migracyjnej, nie wierząc, że Zachodnia Europa może być czasem głupsza od Polski czy choćby Czech, osoby takie jak

prof. Środa staną się dla nas wszystkich przewodnikami w temacie celowości migracji, tak jak to bywa w Zachodniej Europie.

Mam nadzieję, że praca Grzegorza Lindenberg'a i ogólnie działalność Euroislamu (którego wydawca jest też wydawcą książki) uchronią nas przed takim losem i pozwolą szukać racjonalnych rozwiązań kryzysu migracyjnego, który przy obecnej polityce UE z pewnością będzie narastać.

Źródło: [Racjonalista](#)

Normalizacja islamskiego antysemityzmu

Jan Wójcik

Po raz kolejny w Berlinie odbyła się propalestyńska demonstracja Al-Quds, której uczestnicy domagają się wolnej Palestyny, ale i usunięcia Izraela. W Niemczech wywołuje to debatę o granicach między uprawnioną krytyką Izraela, a antysemityzmem.

Jednak tym razem debata znalazła się w cieniu wcześniejszych kontrowersyjnych wypowiedzi komisarza ds. antysemityzmu Felixa Kleina, który ostrzegł niemieckich Żydów, że może nie wszędzie jest bezpiecznie nosić tradycyjne nakrycie głowy, jarmułkę. Wywołało to zrozumiałe oburzenie w społeczności żydowskiej i w Izraelu, bo zamiast starań o bezpieczeństwo Żydów było to oczekiwanie, żeby to oni [ugięli się przed oprawcą](#).

A sprawcami takich przestępstw najczęściej, jak się okazuje, są muzułmanie i lewica. Tymczasem w ostatnich miesiącach

wyszło na jaw, że policja w Berlinie ataki na Żydów [z definicji przypisywała skrajnej prawicy](#).



Berlin

Sprowadza się to wszystko do podstawowego pytania: czy Żydzi w Niemczech mogą być krytykowani, czy też werbalnie atakowani za politykę Izraela? Bo to jest główne usprawiedliwienie, którego muzułmanom dostarczają często lewicowi aktywiści i dziennikarze. Ich negatywne postawy wobec Żydów mają związek z konfliktem izraelsko – palestyńskim, a więc niejako mają być „zrozumiałą reakcją”.

Usprawiedliwiającym nie przeszkadza, że w samych zapisach Koranu czy hadisów znajdziemy treści dyskryminujące Żydów. Takie, że Rada Wspólna Katolików i Muzułmanów w Polsce, chcąc budować dialog chrześcijańsko-muzułmański musi ciąć wersety Koranu (5:82) w samym środku. Dlatego, że jeden ciąg słów zawiera i pozytywne wypowiedzi odnośnie chrześcijan, i bardzo negatywne wobec Żydów.

Nieważne, że muzułmańscy ideolodzy uzasadniają antysemityzm odwołując się do czasów sprzed powstania Izraela; robi tak na

przykład Jusuf Al-Karadawi w swojej mowie o Hitlerze – „biczu Bożym na Żydów”. To jest właśnie normalizacja islamskiego antysemityzmu, przywdziewającego się w płaszczyk antysyjonizmu i nie jest ona nowa. Przestrzegał przed nią już piętnaście lat temu francuski filozof Alain Filkienkraut w swojej książce „W imię innego. Antysemicka twarz lewicy”.

Jednak przestrzegał chyba na próżno, skoro jemu samemu „żółte kamizelki” na ulicach Paryża kazały „wracać do Izraela”, wyzywając od faszystów i syjonistów. Na próżno, skoro „antysyjonizm” wychodzi już poza kręgi muzułmanów i skrajnej lewicy.



Londyn

Dowodem chociażby ostatni list lewackiego [„Le Monde Diplomatique”](#) przeciwko Eurowizji w Izraelu, podpisany przez rysownika Marka Raczkowskiego czy aktorkę Renatę Dancewicz.

Krytykować można, ale list określa Izrael jako „brutalny reżim rasistowskiego apartheidu”, co jest co najmniej przesadą. Jego sygnatariusze sprzeciwiają się świętowaniu rocznicy powstania państwa Izrael, logicznie więc wynika stąd, że sprzeciwiają się posiadaniu przez naród żydowski państwowości. Państwowości, która stała się dla nich koniecznością po

tragedii Holokaustu.

Nie widzieć tutaj antysemityzmu, to właśnie go normalizować – pod pozorem antysyjonizmu.

Jeżeli antysemickie ataki będziemy usprawiedliwiać polityką Izraela, będziemy kłamać, żeby podejrzenia nie padły na inne mniejszości, będziemy normalizować to poprzez media i polityków, to może rzeczywiście lepiej, żeby Żydzi pochowali jarmułki w domach, bo dajemy przyzwolenie na te ataki.

Ten rodzaj antysemityzmu przemycą też w tygodniku „Polityka” dziennikarz Mateusz Mazzini, nazywając „łamaniem tabu amerykańskiej polityki”, antysemickie wypowiedzi pochodzącej z Somalii członkini Kongresu USA [Ilhan Omar](#).

I robi to, pomimo że Omar poddana krytyce sama przeproszała za swoje wypowiedzi. Dla Mazziniego to tylko prawicowe tabloidy i portale internetowe określają ją jako antysemitkę, bo ujawnia bezkrytyczne poparcie Białego Domu dla polityki Izraela. Te „ujawnienia” Ilhan Omar, które przemilczał w tekście Mazzini, to [między innymi](#) stwierdzenie, że Izrael „zahipnotyzował świat”; to wymazywanie Izraela z mapy i zastępowanie go Palestyną, i wreszcie oskarżanie amerykańskich Żydów o lojalność wobec innego państwa, co jest chyba jednym z najstarszych [antysemickich zarzutów](#).

Swoją drogą zaskakujące jest, jak „Polityka”, która nagłośniła i krytykowała zwyczaj okładania pałami Judasza praktykowany w małym miasteczku w Polsce, normalizuje teraz wyrażaną przez amerykańskich polityków chęć zniszczenia jedyne państwa, jakie mają Żydzi i oskarżanie społeczności żydowskiej o konspirację, tylko dlatego, że w lewicowej kosmopolitycznej Europie modnie jest kopnąć Trumpa.

To samo, co mówi Ilhan Omar i co próbuje „Polityka” nazwać „łamaniem tabu” zostało zilustrowane w karykaturze „New York Timesa”, w której pies z twarzą premiera Netanjahu i Gwiazdą Dawida na szyi prowadzi ślepego Donalda Trumpa. NYT zerwał współpracę z rysownikiem i mocno przeproszał za umieszczenie

tego rysunku.

Może czas teraz na redakcję „Polityki”, bo gromienie niezbyt świadomych czynów dzieci pałujących kukłę Judasza, a jednocześnie tuszowanie niewygodnych wypowiedzi polityków nie licuje z powagą pisma.



Teheran

Określenie granicy pomiędzy uprawnioną krytyką a nienawiścią jest czasami trudne. I z pewnością państwo Izrael, biorąc nawet pod uwagę jego trudną sytuację, nie powinno być od tej krytyki zwolnione. Zdecydowaną jednak granicą są wezwania czy sugestie, dotyczące jego likwidacji, niesprawiedliwe zarzuty, a przede wszystkim ataki na mniejszości żydowskie żyjące poza terenem Izraela.

Jeżeli antysemityczne ataki będziemy usprawiedliwiali polityką prowadzoną przez Izrael, jeżeli będziemy kłamać i fałszować, żeby podejrzenia nie padły na inne mniejszości, jeżeli będziemy normalizować to poprzez media i polityków, to może rzeczywiście lepiej, żeby Żydzi pochowali jarmułki w domach, bo dajemy przyzwolenie na te ataki.

Eurowybory nie miały wielkiego znaczenia

Grzegorz Lindenberg

Wybory do europarlamentu nie będą miały wielkiego wpływu na prowadzoną przez Unię politykę, bo to nie Parlament Europejski ją wyznacza, lecz przywódcy państw i bieżące wydarzenia.

Wybory do europarlamentu były oczywiście w Polsce ciekawe, ale raczej jako próba generalna przed naszymi wyborami parlamentarnymi, które mają się odbyć na jesieni, niż jako rywalizacja partii, która może wpłynąć na działania Unii. Parlament Europejski ma dosyć ograniczone kompetencje, z których najważniejsze to wybór przewodniczącego Komisji Europejskiej, uchwalanie budżetu i współdecydowanie o unijnym prawie. W ostatnich wyborach nastąpiło pewne osłabienie i wzmocnienie ugrupowań politycznych, w skład których w europarlamencie wchodziły partie z poszczególnych krajów, ale nie tak duże, by spowodować jakieś wielkie polityczne przemiany.

Osłabieniu uległy dwa największe ugrupowania: EEP (chrześcijańska demokracja i liberalni konserwatyści) oraz S&D (socjaldemokracja), które w dotychczasowym parlamencie razem miały większość, a teraz tej większości nie będą miały. Wzmocniły się natomiast partie zarówno liberalne (ALDE) i ekologiczne, jak i eurosceptyczne i skrajnie prawicowe. Te ostatnie, które będą miały 110-170 posłów w 751-osobowym parlamencie, nie będą jednak odgrywać specjalnej roli, ponieważ nie będą mogły blokować ustaw ani decydować o wyborze przewodniczącego Komisji Europejskiej czy budżecie. To, czy przewodniczący będzie z EEP czy z S&D, nie ma większego

znaczenia praktycznego.

Możemy tylko mieć nadzieję, że jeszcze przez kilka lat będziemy cieszyli się brakiem klimatycznych katastrof i umiarkowaną nielegalną imigracją.

Sytuacja w Unii zmieniła się w czasie ostatniej pięcioletniej kadencji parlamentu nie z powodu ustaw przegłosowanych przez europosłów, ani nie z powodu polityki prowadzonej przez przewodniczącego Junckera, ale za przyczyną dwóch niespodziewanych wydarzeń: Brexitu i kryzysu imigracyjnego. Na to pierwsze Unia nie mogła nic poradzić, na drugie reagowała z opóźnieniem i bardzo nieudolnie.

Czy gdyby zamiast Junkcera był inny przewodniczący, to Unia reagowałaby szybciej i lepiej? Może trochę, ale po prostu UE nie jest organizmem przygotowanym do sprawnego reagowania na kryzysy, lecz organizacją mozolnie tworzącą długoterminowe rozwiązania. Dlatego możemy się spodziewać, że chociaż nowe wydarzenia na pewno zaskoczą Unię w tej kadencji europarlamentu, to będzie ona do nich słabo przygotowana i radzić sobie z nimi będzie powoli i niezbyt skutecznie.

Jej najważniejszym ciałem jest i pozostanie Rada Europejska, czyli grupa przywódców państw członkowskich, której organizacyjnym – ale nie politycznym – przywódcą jest Donald Tusk. Nie on wyznacza jednak kierunek polityki Rady, tylko to, jacy przywódcy rządzą w poszczególnych państwach. Ważniejsza od eurowyborów może okazać się zmiana na stanowisku kanclerz Niemiec, która nastąpi w najbliższych latach.

Z interesującej nas perspektywy imigracji do Europy oraz integracji mieszkającej tu mniejszości muzułmańskiej, eurowybory o tyle mają znaczenie, że również niektóre partie środka, które wchodzi w skład EEP, są za ograniczeniem imigracji. Szansa na bardziej racjonalną politykę antyimigracyjną trochę się zwiększyła. Chociaż jednak postulaty partii głównego nurtu i postulaty partii wyraźnie antyimigranckich, jak Liga Północna z Włoch czy Zjednoczenie

Narodowe Marie Le Pen są w wielu miejscach zbieżne, to z powodu ich wzajemnej wrogości trudno będzie o parlamentarną współpracę w tej kwestii. Inicjatywa musiałaby wyjść od Rady Europejskiej lub Komisji Europejskiej, a te, póki nie rozpocznie się Kryzys Imigracyjny 2.0, raczej nie będą podejmować żadnych działań – trudnych i wymagających sporych wydatków.

Dwa podstawowe wyzwania, przed którymi stoi dziś Europa, imigracja i zmiany klimatyczne, są wyzwaniami długoterminowymi, które wymagają dalekosiężnej perspektywy i wielkich pieniędzy. A wielkie pieniądze oznaczają, że trzeba by przekonstruować budżet unijny od roku 2021, zabierając część pieniędzy, jakie dzisiaj dostają rolnicy i zmniejszając różne programy pomocowe, z których korzystają nowsze kraje Unii, w tym Polska.

To politycznie raczej nie ma szans, a bez wielkich pieniędzy nie uda się zapobiec ani katastrofalnym zmianom klimatu, ani masowej imigracji do Europy. Możemy tylko mieć nadzieję, że jeszcze przez kilka lat będziemy cieszyli się brakiem klimatycznych katastrof i umiarkowaną nielegalną imigracją.